

Pierwszy Grudzień

Po Grudniu '70 komuniści zrozumieli, że bunt robotniczy może dokonać zmian na najwyższych szczeblach władzy – mówi **prof. Jerzy Eisler** w rozmowie z Andrzejem Brzozowskim i Janem Olaszkciem

Książka *Grudzień 1970* to podstawowa monografia dotycząca tego tematu. Niemalże rok temu ukazało jej drugie wydanie – uzupełnione i poprawione. Co w ciągu tych ponad 10 lat od pierwszego wydania trzeba było poprawić, a co uzupełnić?

Poprawić – tylko drobne błędy, nieścisłości i literówki. Natomiast uzupełnić udało się bardzo dużo. Po pierwsze, wiedza na temat Grudnia '70 w Szczecinie, głównie za sprawą Michała Paziewskiego, Eryka Krasuckiego i kolegów ze szczecińskiego oddziału IPN, wzrosła skokowo. O ile wcześniej skupiano się na Gdańsku i Gdyni, o tyle teraz Szczecin należy uznać za najsolidniej udokumentowany. Po drugie, mamy lepszy dostęp do materiałów wytworzonych przez aparat bezpieczeństwa, dziś przechowywanych w archiwach IPN. W roku 2000 korzystałem z Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Biura Ewidencji i Archiwum Urzędu Ochrony Państwa. Tak jak w ZSRR: mogłem skorzystać tylko z tego, co mi przyniesiono w konkretnej teczce. Miałem szczęście, że w Archiwum MSWiA pracował wówczas Grzegorz Majchrzak (wtedy jeszcze się nie znaliśmy), który potraktował mnie nader życzliwie, choć – z tego co wiem – pojawiały się tam głosy, aby realizować moje zamówienia bardzo literalnie, to znaczy, że jeżeli zajmuję się Grudniem '70, to nie ma powodu, by udostępnić mi związane z tą tematyką materiały z wiosny roku 1971. Dzięki niemu otrzymałem więcej, niż niektórzy chcieliby mi udostępnić. Podobnie było z materiałami partyjnymi. Zdjęcia z pochodu pierwszomajowego w 1971 roku, przechowywane w Archiwum Państwowym w Gdańsku, są dziś powszechnie znane. Ale w lutym 2000 roku mogłem je tylko obejrzeć, ale już nie skopiować i zamieścić w książce, ponieważ nie minęło jeszcze 30 lat od momentu ich wykonania. Widziałem zresztą wtedy w inwentarzu w tymże archiwum opis teczek dotyczącej wizyty Jana Pawła II w Trójmieście, która miała pozostać niedostępna dla badaczy do roku 2017.

Następnym nowym i bardzo cennym źródłem są relacje lekarzy. W pierwszej dekadzie XXI wieku Akademia Medyczna w Gdańsku obchodziła jubileusz swego istnienia. W wydanej z tej okazji księdze lekarze wspominają swoją pracę m.in. w grudniu 1970 roku. Wartość tych relacji jest ogromna. Są dokładne, rzeczowe – nie: „było strasznie, strzelano”, tylko precyzyjny opis, językiem medycznym, często wstrząsający, np. lekarka zagląda człowiekowi przez usta i widzi treści zo-

prof. dr hab. Jerzy Eisler

(ur. 1952) – historyk, dyrektor Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie. Zajmuje się najnowszą historią

Polski i Francji.

Autor kilkunastu

książek,

m.in. *Grudzień 1970. Geneza – przebieg*

– *konsekwencje* (2000, 2012),

Polski rok 1968 (2006), „*Polskie*

miesiące” czyli *kryzys(y) w PRL* (2008).



Fot. P. Życiński

łądkowe, kawałki płuc – jakim cudem? Po prostu przejechał po nim transporter opancerzony...

Od rosyjskiego historyka Wadima Wołobujewa otrzymałem materiały z archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSRR. Pokazują one znakomitą orientację Moskwy w wydarzeniach w Polsce. Konsul generalny w Gdańsku od razu 14 grudnia „zatrudnił” wszystkich przebywających tu obywateli ZSRR do informowania i w rezultacie na bieżąco otrzymywał precyzyjne informacje, pozwalające na wiernie odtworzenie przebiegu wypadków. Ze wspomnień Piotra Kostikowa, szefa sektora polskiego w KC KPZR, wynika np., że 17 grudnia wczesnym popołudniem na Kremlu wiadano, że gen. Grzegorz Korczyński latał śmigłowcem nad Gdynią i strzelał do tłumu. Rzeczywiście latał i rzucał granaty łzawiące, choć jednak on sam nie strzelał.

► Pochód pierwszomajowy w Gdańsku, widoczny transparent z żądaniem ukarania winnych grudniowej tragedii; 1 maja 1971 roku



Czytając relacje przytoczone w książce, można odnieść wrażenie, że wiarygodniejsze są informacje, które dostawali towarzysze radzieccy niż te, które dostawał Gomułka.

Zdecydowanie tak. I to jest szokujące. Nie ulega wątpliwości, że Gomułce podsyłano – przynajmniej w pierwszych dwóch dniach – materiały zmanipulowane, skrajnie wystrzone, po prostu nieprawdziwe.

Na przykład zawyżano liczbę zabitych milicjantów...

Przede wszystkim w ogóle pojawiali się zabici w sytuacji, gdy 14 grudnia nie zginął nikt. Jeśli ofiar śmiertelnych nie ma – pierwsza śmierć zmienia sytuację – a tu się podaje: dwóch funkcjonariuszy MO, to znaczy, że ktoś świadomie dążył do wzburzenia Gomułki. I udało się stworzyć obraz kontrrewolucji: podpalają, rabują, zabijają funkcjonariuszy. Nie zbudowałbym jednak teorii, że cały Grudzień zorganizowali przeciwnicy Gomułki po to tylko, by go usunąć.

Wiele przesłanek do tej teorii można jednak wskazać...

Tak, i ja je przywołuję w książce, ale zarazem odrzucam jako mało wiarygodne. Podkreślam wyraźnie, że gdyby sytuacja polityczna, ekonomiczna, społeczna itd. w Polsce była wówczas dobra, to żadne prowokacje ani żadni prowokatorzy nie mieliby najmniejszych szans. To nie oni, ale dramatyczna sytuacja w kraju, pogłębiona jeszcze drastyczną podwyżką cen żywności, spowodowała, że tysiące ludzi zaprotestowało. Natomiast 14 grudnia, szczególnie gdy robotnicy wyszli po 11.00 ze stoczni na ulicę, rozpoczęła się w KC intensywina walka o władzę i wtedy faktycznie próbowano to jakoś

rozegrać politycznie. Prawie pięć godzin strajku na terenie zakładu, drugie tyle spokojnego chodzenia po ulicach Gdańska, bez rabunków, podpaleń czy demolowania. Chodzą, śpiewają pieśni: patriotyczne, rewolucyjne, religijne, skandują jakieś hasła...

Manifestacja robotnicza jak z filmu propagandowego...?

Tak! Tylko że bez zgody i wiedzy władz.

A pojawia się plotka, że pierwsze strzały padły z tłumu manifestantów w stronę milicji?

Antoni Dudek i Tomasz Marszałkowski uważali, że z broni, którą odebrano milicjantowi. Sądzę jednak inaczej: to, że strzały padły z tłumu, nie musi wcale oznaczać, że strzelali demonstranci.

Czyli milicyjna prowokacja?

Nie można jej wykluczyć. Trzech znanych z nazwiska funkcjonariuszy MO zostało rannych we wtorek 15 grudnia rano (przy czym jeden ciężko, w brzuch). Kiedy padają strzały, ranni padają na oczach kolegów – na ulicy tworzy się inna atmosfera.

A jak reaguje Kreml? Zaledwie dwa lata wcześniej była przecież interwencja w Czechosłowacji?

Gdyby Gomułki nie powstrzymano i wojna domowa rozlała się po całej Polsce, to nie byłyby ważne sytuacja międzynarodowa, układy z Amerykanami – Sowietom na pewno nie poprzestaliby na wezwaniach polskich towarzyszy do działania. To robili wcześniej: telefony, zapytania, do Gomułki przychodził ambasador ZSRR Awierkij Aristow, dzwonił Breżniew...

Znamy treść tej rozmowy. Breżniew mitygował Gomułkę: „Towarzyszu, może za ostro reagujecie...?”, a Gomułka wręcz strofował Breżniewa, krzycząc, że tu trzeba dławić kontrrewolucję i przywoływał Lenina, który krwawo rozprawił się z kontrrewolucjonistami w Kronsztadzie.

Bo Breżniewowi ciągle tkwiła ością w gardle Czechosłowacja, za którą ZSRR zapłacił słony rachunek na forum międzynarodowym i wewnętrznym, gospodarczym. Była to cena tak wysoka, że premier Aleksiej Kosygin powiedział wtedy, że nie można co dwa lata robić takich rzeczy. Poza tym to nie tylko PRL zabiegała o dobre relacje z ZSRR – towarzyszom radzieckim także zależało na współpracy z Polską.

Zostawmy na razie forum międzynarodowe, przejdźmy do przyczyn tego wystąpienia. Bezpośrednim impulsem była podwyżka cen, tzw. operacja cenowa.

Dzisiaj cytowanie Karola Marksa nie jest *trendy*, ale istotny jest tu jeden cytat: „byt kształtuje świadomość”. Ludzie mogą wiele ścierpieć w sferze braku wolności, ale to aspekt ekonomiczny porwa ich do gwałtownych zachowań. Po prostu bez ➤



jedzenia nie da się przeżyć. Wówczas ceny i płace w zasadzie były stałe i ustalane centralnie. Jeżeli przy stałych płacach podnosimy ceny o kilkanaście–kilkadziesiąt procent, to jest dramat. W 1970 roku w Polsce ciągle była bieda, widoczne były skutki II wojny światowej. W zdecydowanej większości domów nie było kanalizacji, centralnego ogrzewania, a czasem nawet prądu. Ostatnie wsie zelektryfikowano w Polsce w 1979 roku. Dlatego te koszmarnie hotele robotnicze dla młodych chłopców ze wsi były często ogromnym awansem cywilizacyjnym.

Czyli Grudzień '70 miał przede wszystkim podłoże ekonomiczne?

Tak. Nie wiem, czy gdyby poziom życia był lepszy, choćby jak „za Gierka” – to doszłoby do protestów. Był oczywiście brak wolności, ucisk, pogarda dla „robotli”, którzy mają milczeć i tyrać, ze strony kierowników, nawet majstrów po zawodowce – to był drugi czynnik. I dopiero gdzieś na dalszym planie były np. problemy związane z religią – bo człowiek wierzący zwykle miał zamkniętą drogę awansu. A co do samej podwyżki cen, to czarę goryczy przelało to, że ogłoszono ją niespełna dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia, kiedy to w Polsce tradycyjnie zawsze kupowano więcej lepszej gatunkowo, a przez to i droższej żywności. Długo szukałem odpowiedzi na pytanie, kto zaproponował tak niefortunny moment ogłoszenia podwyżki cen. Dopiero po opublikowaniu drugiego wydania monografii Grudnia natrafiłem na wypowiedź Gomułki, który stwierdził, że była to propozycja premiera Józefa Cyrankiewicza.

Nie można było wymyślić lepszego terminu? Święta to szczególnie czas także pod względem zakupów.

Dwa tygodnie wcześniej też nie można było – bo Barbórka, która dla komunistów była ważniejsza niż Boże Narodzenie. 7 grudnia kanclerz RFN Willy Brandt przyjechał podpisać układ z PRL, więc też nie był to dobry moment. Stąd niedziela 13 grudnia.

Podwyżki cen żywności dotyczyły wszystkich, a ugruntował się stereotyp, że Grudzień '70 był buntem robotników w odróżnieniu od 1968 roku, gdy z kolei buntowała się inteligencja, studenci.

W obu wypadkach był to bunt tej samej grupy wiekowej. Nie dawajmy się ciągle wkręcać w marksizm i nie patrzmy w kryteriach klasowych. To był bunt generacyjny. W obu wypadkach protestowało pierwsze pokolenie urodzone i wychowane w Polsce Ludowej. Ci ludzie nie znali innej Polski niż ta rządzona przez komunistów. Nazywam ich ptaszkami urodzonymi w klatce. Ta klatka była dla nich naturalna. Nawet jeśli się nie podobała, to dawało się w niej żyć. Starsze pokolenie, po okupacji, wojnie i stalinizmie, najczęściej miało przetrącony kręgosłup. To charakterystyczne, że w Solidarności najaktywniejsze było pokolenie wnuków i dziadków. A w pokoleniu rodziców – tych, którzy wchodzili w dorosłe życie w 1944, 1945 roku i byli za młodzi na konspirację – wskaźnik aktywności był relatywnie najniższy. Przez trzy dekady dorosłego życia zdążyli się przyzwyczaić. Natomiast ci urodzeni po wojnie wchodzili w dorosłość pod koniec lat sześćdziesiątych i mieli świadomość, że to nie jest normalna sytuacja – ale inaczej nie będzie. Tymczasem naraz okazało się, że w tej klatce jest gorzej niż dotychczas, bo nawet pensja nie wystarcza na jedzenie.

A dlaczego buntowano się przede wszystkim na Wybrzeżu?

Można przypisać to większemu otwarciu, które cechuje miasta portowe. Tam przyplływają statki zagraniczne, marynarze z Zachodu. Oczywiście największy kontakt z nimi mają tak-sówkarze, prostytutki, waluciarze... to nie jest kontakt całego społeczeństwa, ale jednak. Po drugie, tam mieszkali też polscy marynarze, którzy byli za granicą i przywozili stamtąd towary i wiedzę o świecie zewnętrznym. Pamiętajmy, że mówimy o państwie zamkniętym, z którego było trudno wyjechać, w którym obowiązywała cenzura. W miastach portowych



była nadreprezentacja ludzi, którzy świat zachodni widzieli. W filmie *Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł* jest scena, w której marynarz przywozi z rejsu puszkę heinekena i długopis z „rozbierającą się” dziewczyną – sensacja! Gdyby dziś młodemu człowiekowi powiedzieć, że wtedy puszkę po piwie (rzecz zupełnie wyjątkową w PRL) zbierali nie – jak dzisiaj – bezdomni na złom, ale młodzi kolekcjonerzy, którzy ustawiali je później na półkach w domu, toby się mocno zdziwił.

Władze PRL podwyżkę wprowadziły jak operację wojсковą: cenniki dostarczano w tajemnicy, żeby obywatele nie wykupili towarów, ale jednocześnie władze spodziewały się starcia. Zanim jeszcze doszło do demonstracji, w MSW opracowano ruchy wojsk: czołgów, wojsk rakietowych, nawet obrony przeciwlotniczej, a w czasie manifestacji poderwano myśliwce – jakby rozpoczynała się wojna.

Jednym z elementów realnego socjalizmu było kompletne niezrozumienie sensu dialogu, kompromisu. A skoro nie było dialogu, to jedynymi kryteriami były „kryteria uliczne”. Strajk w fabryce nie był zbyt groźny dla systemu – niechby trwał i pół roku! Przeszedłby niezauważony. Gomułka dowiedział się, że coś się dzieje nie o 7.00, tylko dopiero tuż przed wyjściem stoczniowców na ulice, prawie cztery godziny później. Strajków „za Gomułki” było niemało, ale wyjście na ulice – to była nowa jakość. Dopiero później zdałem sobie sprawę z godziny ataku milicji na manifestantów. O 15.55 w grudniu w Polsce jest już ciemno. To nie był raczej przypadek, chodziło o to, żeby ukryć działanie milicji, a także, żeby spotęgować strach. Słychać strzały, wybuchy, ale nie wiadomo, co się dzieje. To zresztą było także jedną z przyczyn tragedii 17 grudnia w Gdyni. Ludzie wysiadający na peronie nie za bardzo te czołgi i blokadę mogli zobaczyć.

Czarny czwartek jest symbolem tragedii grudniowej. Ale czy akurat wtedy nie był to splot różnych czynników, a nie wyłącznie rezultat brutalności wojska?

Tak, dlatego świadomie używam słowa „masakra” wyłącznie w odniesieniu do Gdyni. Ponieważ według mnie w Gdańsku, Szczecinie, Elblągu mieliśmy do czynienia z walkami ulicznymi – oczywiście z dysproporcją sił: po jednej stronie były kamienie i butelki z benzyną, a po drugiej czołgi i gazy łzawiące. W Gdyni nie było rabowania ani niszczenia, mało tego – ostrzelano nie demonstrację, tylko ludzi idących do pracy, nieuzbrojonych w żadne łomy, butelki z benzyną. Stanisław Kociołek, ówczesny wicepremier powiedział mi, że się zdziwił, że ta blokada była prawie kilometr od Stoczni im. Komuny Paryskiej – bo zamknięto drogę nie tylko stoczniowcom, lecz także pracownikom innych instytucji i zakładów. I tych ludzi na dworcu było coraz więcej.

W takiej sytuacji trzeba zadać pytanie, kto w Grudniu '70 kazał lub pozwolił strzelać.

Oczywiście rozkaz żołnierzom na stacji wydał dowodzący akcją oficer. Natomiast od samego początku były dwie koncepcje roz-

Fot.: PAP/Stanisław Czarnogórski



► To ich sprzeczne decyzje doprowadziły do masakry: Zenon Kliszko (z lewej) i Stanisław Kociołek

wiązania kryzysu. Pierwsza – Zenon Kliszki, który zachowywał się nie jak polityk, lecz jak dowódca wojskowy: chciał więcej wojska, więcej strzelania – jego wypowiedzi o burzeniu stoczni, którą można zbudować od nowa, o tym, że nie ma znaczenia, czy zginie 200 czy 300 robotników, budzą grozę. Do gen. Stanisława Antosa, szefa Sztabu Pomorskiego Okręgu Wojskowego, krzyczał: Pacyfikować Gdańsk! Gdy gen. Antos tłumaczył, że nie wie, jak to się robi, Kliszko odpowiedział mu, że tak jak w Powstaniu Warszawskim: dom po domu, ulicę po ulicy. Coś takiego mówił powstaniec z Armii Ludowej, Zenon Kliszko. Z kolei inny członek Biura Politycznego, Stanisław Kociołek, wicepremier, a wcześniej I sekretarz KW w Gdańsku, miał koncepcję polityczną. Możemy się dziś z tego śmiać, bo na Wybrzeżu trwały demonstracje, były barykady, trupy, płonęły budynki, a on chciał kolejnych narad, przygotowywał odezwy i tłumaczył, że towarzysze mają iść do załóg, rozmawiać... można się zżywać, że była to koncepcja oderwana od rzeczywistości, ale od przemówień i narad jeszcze nikt nie zginął. Kliszko zaś ogłosił lokaut: zamknięcie stoczni i ponowne zatrudnianie wszystkich, a następnie w środę 16 grudnia wyjechał do Warszawy na naradę do Gomułki. Kilka godzin później Kociołek, wierny swej koncepcji, uznał, że pierwszym krokiem do stabilizacji będzie powrót do pracy. W lokalnej telewizji wezwał do powrotu do pracy następnego dnia, w czwartek 17 grudnia. Te decyzje były ewidentnie sprzeczne i musiały skończyć się tragedią.

Strzelanie miało być chyba na postrach, ale rezultat był tragiczny.

Wydaje się, że płk Władysław Łomot – dowódca tej blokady – po tym, jak na jego rozkaz padły strzały, przeżył silny wstrząs, a nawet stracił przejściowo mowę, kiedy zobaczył, co się dzieje. Odebrano mu w tej sytuacji dowodzenie. Nie ma oczywiście przekazów, kto strzelał w powietrze, kto w tłum, a kto w ziemię. Ale nawet salwa w bruk nie była żadnym strzelaniem na postrach, spowodowała ofiary, nawet może większe, niż gdyby oddano salwę na wprost. Rykoszety odbite od kocich łbów ►

latały we wszystkich kierunkach. Wybuchła panika, pamiętajmy, że jest szósta rano, widno będzie dopiero za półtorej godziny, nic nie widać, słychać strzały, krzyki, skandowanie: „mordercy, mordercy!”.

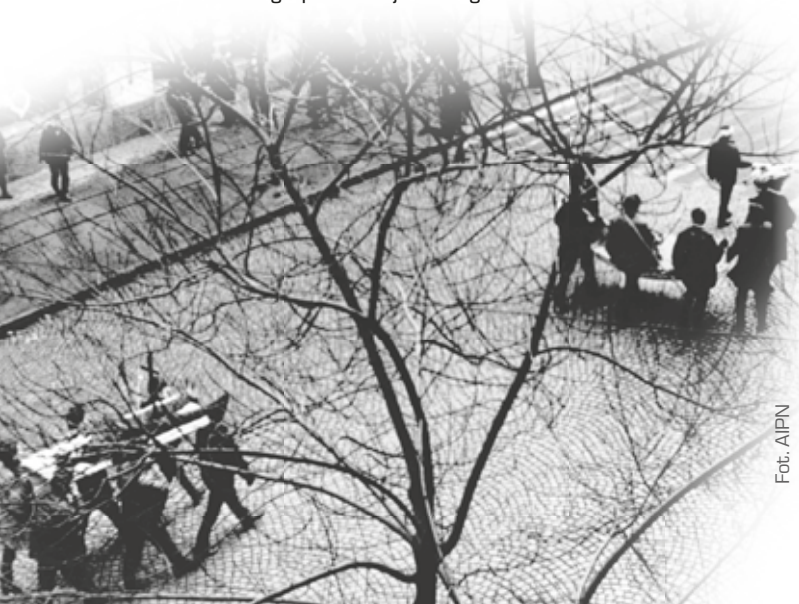
**Była to niewątpliwie masakra, ale to wydarzenie wy-
daje się jednak czymś innym niż działania ZOMO na
ulicach.**

Tu jest fundamentalna różnica. Często używano eufemizmu „siły porządkowe”, który łączył wojsko i milicję. I potem była manipulacja: najpierw, że to strzelała tylko milicja, a wojsko nie – nawet w *Balladzie o Janku Wiśniewskim* jest tylko część „niebieska”, a „zielonej” nie ma. Po zmianie stroju zaczęło się zjawisko odwrotne. W procesie o sprawstwo kierownicze, z wyjątkiem wicepremiera Kociołka, nie było nikogo spoza kręgów wojskowych. Różnica polega na tym, że wojsko zawsze strzelało na rozkaz, salwami, w kilkunastu udokumentowanych miejscach na Wybrzeżu. I należy mu przypisać zdecydowaną większość ofiar śmiertelnych. Natomiast wszystkie pojedyncze strzały gdzieś na ulicy padały zawsze ze strony MO bądź SB. W MSW przyjęto bowiem zasadę, że każdy funkcjonariusz – a byli to ludzie często niewykształceni, czasem wręcz prymitywni, agresywni – sam decyduje o użyciu broni i to – dodajmy – w skrajnym napięciu nerwowym. Skutkiem były liczne postrzelenia zwykłych, często przypadkowych ludzi na ulicy.

**Obraz tej grozy jest potęgowany licznymi opisami bru-
talnego traktowania obywateli przez milicjantów. Lu-
dzi wciągano do samochodów i wywożono do komisa-
riatów, gdzie rozgrywały się sceny jak za najgorszych
lat stalinizmu.**

To powtarza się w różnych polskich miastach: zmęczony, czasem sponiewierany oficer przesłuchujący, z którego wręcz wylewają się agresja i nienawiść, który nie ogranicza się tylko do wyzwisk wobec zatrzymanego, ale bije, kopie, znęca się.

► Symbol Grudnia 1970 roku: niesione na drzwiach zwłoki Zbigniewa Godlewskiego, zastrzelonego przez wojsko 17 grudnia



Fot. AIPN

To, co urządzono 17 grudnia 1970 roku w Gdyni – napisałem to w książce po długich namysłach i wciąż podtrzymuję – jest porównywalne z katowniami gestapo, NKWD czy UB. To były sadystyczne zabawy polegające np. na zadawaniu tyłu uderzeń, ile jest liter w nazwisku aresztanta, ciosy ręką w skórzanej rękawicy z mosiężną tuleją w dłoni, brutalne ścinanie włosów nożem, właściwie bliższe skalpowaniu. Stałym elementem był leżący na wierzchu pistolet – mówiono o przypadkach zastrzelenia podczas takich „przesłuchań”, okazało się jednak, że to tylko plotki. Towarzyszyły temu groźby, obietnice wyrzucenia z uczelni, z pracy – wtedy taki „wilczy bilet” oznaczał, że człowiek nie skończy żadnych studiów, dopóki władza się nie ulituje. Utrata pracy oznaczała brak możliwości powrotu do zawodu.

**Najbardziej uderzające w filmie *Czarny czwartek*
było późniejsze postępowanie władz ze zmarłymi i ich
rodzinami.**

Na szczęście pogłoski o zbiorowych mogiłach – kojarzących się z Katyniem – okazały się nieprawdą. Natomiast prawdą były pokazane w filmie pogrzeby odbywające się po 22.00 czy 23.00, w których mogło uczestniczyć tylko pięć, sześć osób z najbliższej rodziny. To np. oznaczało dla będącej w ciąży narzeczonej jedynej elbląskiej ofiary, Tadeusza Mariana Sawicza, z którą miał się za tydzień ożenić, że nie będzie mogła uczestniczyć w pogrzebie. Na dodatek został on zabity jako przypadkowa osoba – zastrzelili go milicjanci z przejeżdżającej nysy, gdy wychodził z baru mlecznego.

**Takich historii o ludziach zastrzelonych nawet nie tyle
przypadkowo, ile bez powodu, jest w Grudniu '70 dużo,
np. szesnastoletnia dziewczyna zabita we własnym
mieszkanie, bo ktoś puścił serię w okna...**

Część milicjantów i żołnierzy dała upust najniższym instynktom. Nie były to działania w ferworze wydarzeń, tylko metodycznie, na chłodno – rozkładanie na stole i trzydzieści, czterdzieści pał... Albo po prostu dla zabawy.

Musiało być na to przyzwolenie z góry...?

Formalnie – w postaci jakichś rozkazów czy zaleceń – zapewne nie było, ale milcząca akceptacja na pewno była.

**Tych kilka grudniowych dni miało swoje rezultaty. Naj-
wyraźniejszym jest zmiana ekipy rządzącej.**

Nawet gdyby przyjąć, że do zmiany doprowadziły działania niektórych członków kierownictwa, to gdyby działali oni w normalnej sytuacji, bez tego, co rozgrywało się na ulicach, to oni by odpadli, a nie Gomułka, który miał wówczas silną pozycję.

**Budzimy się więc po Grudniu, mamy nową ekipę
Edwarda Gierka...**

...sekretarza KW PZPR w województwie katowickim, gdzie rzeczywiście był nieco inny model socjalizmu. O Gierku mó-



Fot. PAP/Janusz Uklejewski

► „Pomożecie?” - Edward Gierek podczas spotkania ze stoczniovcami na próżno próbował wzbudzić w nich entuzjazm dla swoich obietnic; 24 stycznia 1971 roku

wiono raczej dobrze – jako o gospodarzu Śląska i Zagłębia, że zna francuski, że był na Zachodzie, że Europejczyk. Jak na Węgrzech zobaczył np. basen ze sztucznymi falami, to taki sam zafundował w Chorzowie; oprócz tego w aglomeracji katowickiej już na początku lat sześćdziesiątych funkcjonował jeden wspólny bilet na transport publiczny dla kilku, kilkunastu miejscowości – tego rodzaju rzeczy robił u siebie Edward Gierek. Oczywiście złudzeń nie było, ale relatywnie szybko zyskał sympatię i zaufanie. Poza tym alternatywa była następująca: Gierek albo „marcowy” minister spraw wewnętrznych gen. Mieczysław Moczar. Ten ostatni, właśnie po doświadczeniach Marca ’68, był takim Czarnym Piotrusiem formacji komunistycznej.

Gierek przyjechał do robotników osobiście – wcześniej żaden I sekretarz tego nie zrobił.

To w ogóle jedyny tego typu przypadek w historii świata, że przywódca rządzącej partii komunistycznej przychodzi na teren strajkującego zakładu.

Przyjeżdża i zadaje słynne pytanie.

To jest jedna z największych mistyfikacji. I to jest ciekawe, że mijają lata, ukazują się kolejne książki świadków wydarzeń i jest dokładnie tak samo: Anna Walentynowicz i Lech Wałęsa na tym spotkaniu byli i oboje utrzymywali, że krzykali „Pomożemy!”. Były sekretarz KC, który towarzyszył Gierkowi w spotkaniach w Szczecinie i Gdańsku, Jerzy Waszczuk, niedawno napisał wspomnieniowy tekst, w którym także napisał, że na zapytanie I sekretarza padło chóralne: „Pomożemy!”. Czyli historycy mogą pisać, mówić, a i tak pamięta się co innego.

Przecież ta scena jest zarejestrowana.

Na taśmie filmowej, magnetofonowej. Wyraźnie widać, jak Gierek mówi: „No, więc jak, towarzysze? Pomożecie?”,

a w odpowiedzi słychać mało entuzjastyczne, pojedyncze oklaski i niewyraźny pomruk z sali. Żadnego chóralnego „Pomożemy!” nie było.

Grudzień 1970 roku to jeden z tzw. polskich miesięcy, w czasie których nastąpiły wydarzenia ważne dla Polski. Jakie wnioski z tych kilku dni wyciągnęła na przyszłość władza?

Komuniści zrozumieli, że bunt robotniczy może dokonać zmian na najwyższych szczeblach władzy. Od buntu w czerwcu 1956 roku do zmiany, momentu dojścia Gomułki do władzy, upłynęły prawie cztery miesiące, tutaj zmiana następuje w trakcie protestów – podobnie stało się w roku 1980. Jeżeli taka jest siła robotników, to trzeba robić wszystko, aby ich nie prowokować, a szczególnie zapewnić znośne warunki życia. Czyli wyciągnąć wnioski z marksizmu. Nie wolno gwałtownie podnosić cen. Druga lekcja: nie można dopuścić do użycia broni palnej. Kolejnego takiego buntu partia raczej nie przetrwa. I tego faktycznie przestrzegali w czerwcu 1976 roku. Broń, owszem, była – w skrzyniach zaplombowana na lotnisku radomskim. Przy sobie pistolety mieli jedynie oficerowie. Dwie ofiary śmiertelne w Radomiu były następstwem wypadku, a nie zastrzelenia.

Znacznie ważniejsze było to, czego się nauczyła druga strona. Po pierwsze: nie można wyjść poza teren zakładu pracy. Doświadczenia roku 1976 – Ursusa, Radomia, Płocka jeszcze to utrwaliły. Jak się wyjdzie na ulice, to traci się panowanie nad tłumem – pojawiają się chuligani i prowokatorzy. Rozmowy z przedstawicielami władz prowadzi się na terenie własnego zakładu pracy. Np. w Szczecinie negocjowano w prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Można powiedzieć, że to szczegól, ale jeżeli siedzimy przy stole, jest napięcie, nie wiadomo, jak będzie, a gospodarz nie daje szklanki wody przez osiem godzin, nic do jedzenia – ma to wpływ na rozmowy. A w zakładzie my decydujemy, czy robimy przerwę, czy ciągniemy to w nieskończoność. Po trzecie, na terenie zakładu rozmowy mogą być transmitowane przez radiowęzeł. Pierwszy komitet strajkowy w Szczecinie po zawarciu porozumienia został mocno skrytykowany. Pojawiły się insynuacje, że za mieszkania, za przydziały sprzedali robotniczą sprawę. Natomiast jeśli wszystko jest transmitowane na żywo, to wiadomo, jak toczą się rozmowy. Po czwarte, rozmowy muszą być prowadzone normalnym językiem, a nie w nowomowie. Nie można nazywać dyktatury demokracją, bicia ludzi – „naruszaniem socjalistycznej praworządności”, a zabijania – „wypaczeniami”, tylko po prostu zbrodnią. To nie może być język władzy – bo jak się go przyjmie, to się sprawę na pewno przegra. I ostatnia rzecz: mimo że nie ma takiego układu, którego nie można zerwać, to wszyscy wolimy mieć wszystko na piśmie. Po doświadczeniach 1970 i 1971 roku, latem 1980 roku wszystkie ustalenia były spisywane i podpisywane w postaci tzw. Umów Społecznych, a w 1989 roku w postaci porozumienia Okrągłego Stołu. 🍷